

# DWUGŁOS O "ŁÓDŹ STORY"

## Łódź Story ze znakami zapytania

Mamy nowy (wcale nie pierwszy, jak można było tu i ówdzie usłyszeć) musical o tematyce łódzkiej: *Łódź Story*. Przypomnę, że w roku 1993 Teatr Muzyczny w Łodzi wystawił *Ziemię obiecaną* Piotra Marczewskiego z librettem Ryszarda Czubaczyńskiego – przedstawienie nie było udane i szybko zeszło z afisza. Obecna propozycja repertuarowa (czy lepsza? – wątpię) powstała w związku z planowanym otwarciem, mieszczącej się przy ulicy Żubardzkiej, sali koncertowo-widowiskowej Akademii Muzycznej im. Grażyny i Kiejstuta Bacewiczów. Poprzedni rektor zamówił u cenionego kompozytora muzyki rozrywkowej, Włodzimierza Korcza (będącego absolwentem łódzkiej AM w klasie fortepianu) musical z zamiarem wystawienia go tuż po uruchomieniu nowego obiektu. Budynek od października funkcjonuje, kompozytor z zadania się wywiązał, można więc było wybrać się na premierę.

Korcza, być może z pobudek ambicjonalnych, nazwał swe dzieło „musicalem operowym”, co sugeruje jakiś nowy gatunek a sens ma mniej więcej taki, jak określenie „operowa operetka”. Okazała pod każdym względem od *Łódź Story*, słynna *West Side Story* Bernsteina (i moc innych kompozycji) zwie się po prostu musicalem. Korcza nie wykroczył poza kategorię stylistyczną pop-music, mimo że jego piosenki są zróżnicowane (co prowokuje nawet zarzut eklektyzmu), czasami w swej formie „pączkują” a w pewnym momencie pojawia się w jednej z nich mały ozdobnik koloraturowy. Dziwną nazwę jednak miejscowa uczelnia zaakceptowała, reklamując zarazem Korcza jako twórcę... muzyki oratoryjnej. W wydanej w ubiegłym roku książce *Łódzka strefa Polihymnii. Z zapisków bywalca* poświęciłem trochę uwagi terminologicznym nadużyciom w nawiązaniu do współczesnych, lansowanych w obrębie kultury masowej, tzw. oratoriów, będących montażami piosenek. Nazwisko Korcza, jako autora kompozycji *Woła nas Pan* też tam pada (nasza Akademia przygotowała kilka lat temu wykonanie tego utworu). Teraz Szanowni Koledzy Profesorowie ustosunkowali się do podniesionego przeze mnie problemu w sposób zupełnie zaskakujący, redefiniując pojęcie muzyki oratoryjnej zgodnie z subkulturowymi praktykami marketingowymi.

Autorką tekstów piosenek oraz libretta *Łódź Story* jest Monika Partyk z Krakowa, parająca się zawodowo nie tylko pisanem słów do piosenek, ale i, podobno, recenzji z teatrów muzycznych. Ciekawe, jak zrecenzowałaby swoje „łódzkie dokonanie”, które - trzeba to od razy stwierdzić - jest całkowicie chybione. Z banalnym, jak w najslabszej operetce, pomysłem libretta opartego na schemacie *Kopciuszka* (fabrykant i prządka, którzy... po stu latach przepoczwarzają się w poruszających się po współczesnej tzw. Manufakturze dyrektora i jego sekretarkę) idzie w parze fatalną wprost realizacją dramaturgiczną. Dialogi występują w postaci szczątkowej i są infantylne. Trudno mówić o sensownej akcji, bowiem brak czytelnego jej zawiązania (z nadzieją na nie czekałem bez skutku kilkadziesiąt minut), rozwinięcia i jakiejś kulminacji. Na scenie pokazany jest „szereg sytuacji” dopełnionych dźwiękami i filmowym obrazem (o czym za chwilę). Tytułowa *Story* w owej pozornej operze okazuje się więc pozorna, lecz i za słowem *Łódź* niewiele się kryje, poza kalkami chyba jakichś reklamujących miasto wydawnictw (na osobny komentarz zasługiwałyby wpleciona w tekst promocja kontrowersyjnej postaci Jerzego Kosińskiego).

Można by uznać, że odpowiedzialna za reżyserię, inscenizację i ruch sceniczny Beata Redo-Dobber (też z Krakowa) niewiele już mogła w tym stanie rzeczy zrobić. Nie sposób wszakże i do niej nie odnieść kilku znaków zapytania. Pierwszy dotyczy - ot, choćby w pierwszym akcie, zabawy tanecznej bez tańca. Drugi - ekranowych wizualizacji. Redo-Dobber zajmuje się ponoć m.in. scenografią, tylko że w sali przy ul. Żubardzkiej, która w założeniu przewidziana została także do

spektakli teatralnych, dekoracji nie można stosować, gdyż projektant, uwzględniając kanał dla orkiestry, zapomniał o „drobiazgu” - kulisach służących do magazynowania dekoracji, a wadliwego projektu nikt jakoś nie skorygował. W *Łódź Story* dekoracje postanowiono zastąpić permanentnymi projekcjami na wielkim ekranie nad sceną (również reżyserowała je Redo-Dobber). Były one trojakiego rodzaju: stanowiły fragmenty filmu *Ziemia obiecana* Andrzeja Wajdy, „luźne skojarzenia” (widoczki przyrody, „łódzkie sukcesy” etc.) lub też powiększenie do gigantycznych rozmiarów tego, co odbywało się w danym momencie na scenie. Wszystko to, rozpraszając uwagę, grawitowało w stronę inscenizacyjnego kiczu, który co rusz dawał o sobie znać, a np. w chwili pokazania ogromnej reklamy portalu randkowego „Flora” albo gołej pary przy słowach: „będziemy mieć dziecko” wręcz porażał. Natomiast czemu miało służyć „podczepienie się” już w pierwszych minutach pod film Wajdy, ewokujący treści i postaci (Borowieckiego, Bauma, Welta) nieobecne w spektaklu? Czy reżyser w ogóle się nad tym zastanowiła? Nie miało również sensu wprowadzenie „żywego rekwizytu” - niemej osoby na wózku inwalidzkim, która mogła być zidentyfikowana przez znających film, ale tutaj nie miała żadnego uzasadnienia. Następną sprawą to ściągnięty z *Włoszki w Algierze* w reżyserii Michała Znanieckiego concept dotyczący obecności na scenie kamery „filmującej” spektakl (w tym wypadku już zresztą... wcześniej „sfilmowany”, o czym świadczyła filmowa czołówka przedstawienia). Concept okazał się równie jałowy, jak w realizacji opery Rossiniego.

Można się było zorientować, że studenci Wydziału Wokalno-Aktorskiego włożyli sporo pracy w przygotowanie swych partii, ale efekty były nierówne. Niektórzy soliści śpiewali piosenki w sposób operowy, co dawało nawet efekt z lekka komiczny. Ale mogli się podobać np. Aleksandra Pokrywczyńska jako Magda (choćby w ładnej, lirycznej piosence *Świt nad Księżym Młynem*) i Michał Sobiech jako Karol Poznański. U niektórych solistów zawodziła dykcja. Nie wszyscy potrafili „współdziałać” z mikroportem, jednak dykcja nie była też najmocniejszą stroną, złożonego ze studentów Wydziału Wokalno-Aktorskiego chóru, śpiewającego już bez mikroportów. Lecz w sumie i tak strona wokalna okazała się lepsza od aktorskiej, niewykraczającej raczej poza amatorstwo (u jednego z solistów drażniła nawet wada wymowy).

Dość blado wypadł taniec w wykonaniu studentów Sekcji Rytmiki oraz Sekcji Choreografii i Technik Tańca AM. Płasy akademików określić można mianem przedszkola w stosunku do umiejętności uczniów każdej szkoły baletowej. Orkiestra pod dyktando sprawującego kierownictwo muzyczne całości Michała Kocimskiego radziła sobie całkiem przyzwoicie, choć i tu zdarzały się drobne niedociągnięcia, np. niespójności w grupie wiolonczel. Ogólnie przedstawienie nie sprawiło wrażenia produkcji profesjonalnej, lecz miało charakter szkolny - pomijając muzykę Korcza, pozbawioną wprawdzie wyrazistego przeboju, lecz zawierającą szereg ciekawych, na miarę stylistyki pop, pomysłów, także instrumentacyjnych.

Uczelnie artystyczne potrafią niekiedy w dziedzinie musicalowej i „okołomusicalowej” wspiąć się na wysoką półkę, że wspomnę choćby o zaprezentowanym w tym roku w Teatrze Nowym na zakończenie XXXI Festiwalu Szkół Teatralnych, znakomitym pod względem wykonawczym spektaklu autorstwa Agnieszki Osieckiej (1964) w reżyserii Wojciecha Kościelniaka: *Niech no tylko zakwitną jabłonie*, przygotowanym przez słuchaczy Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Niestety, Łódzkiej Akademii Muzycznej nic podobnego nie wyszło, a zgoła przykre stało się patrzeć, jak nowoczesna technika współrealizuje koncepcyjną tandetę (choć skądinąd jest to właśnie cecha kultury masowej). I już całkiem na marginesie: w profesjonalnym teatrze raczej się nie zdarza, by po spektaklu wykonawcy sami sobie robili na scenie owację, a to można było obserwować przy ul. Żubardzkiej. Nota bene akurat kończąca *Łódź Story* sekwencja miała szansę ucieszyć oko - dużo zadowolonych, młodych ludzi wśród zieleni nad wodą. Tylko że panie librecistka i reżyser pewnie znów nie pomyślały, że w kontekście „propagandy sukcesu” obecnej w ekranowych projekcjach można było ową sekwencję zinterpretować jako polską „zieloną wyspę” (sic!) z zaludniającymi ją lemingami.

Janusz Janyst